

05 GRUDNIA BÓG PRAGNIE SIĘ WYRAŻAĆ

Fragment Pisma Świętego

Jezus poznał, że mieli przyjąć i porwać Go, aby
Go obwołać królem, więc usunął się znów na górę
J 6,15

Jezus, świadomy planów tłumu, który chciał Go uczynić królem, zdecydowanie oddała się na górę. Nie dlatego, że unika ludzi, ale by podkreślić, że Jego misja nie podlega ludzkim oczekiwaniom. Tłum widział w Nim przywódcę politycznego, kogoś, kto wyzwoli Izrael spod rzymskiego panowania. Jezus jednak nie pozwala na ograniczenie swojej tożsamości do ziemskiej roli. W tym geście jasno widać, że to On kontroluje bieg wydarzeń, nie pozwalając, by ludzkie ambicje zdominowały Jego misję. Jak zauważa św.

Augustyn, Jezus nie przyszedł po to, by objąć królewskie insygnia, ale by przemieniać serca i prowadzić do Królestwa Bożego.

Ta scena jest ważnym przypomnieniem, że relacja z Jezusem wymaga od nas wyjścia poza własne wyobrażenia. Jezus oczekuje od nas inicjatywy, chęci wspólnego czasu, ale nie dostosowuje się do ludzkich oczekiwań, które często są sprzeczne z Jego odwieczną tożsamością. Jeśli próbujemy narzucać Jezusowi nasze wizje, ryzykujemy, że przegapimy prawdę o Nim. Warto pamiętać, że Jezus nie potrzebuje naszego "programu" dla Niego – to my mamy włączyć się w Jego plan, który jest większy niż nasza ludzka perspektywa.

Jezus w Ewangelii Jana działa z pełną świadomością, nie jest ofiarą okoliczności. Zna zamiary swoich przeciwników i unika ich w odpowiednich momentach, zachowując pełną wolność. Jego decyzja o oddaniu życia była w pełni dobrowolna. Nie pragnął śmierci – co pokazuje modlitwa w Getsemani – ale przyjął ją świadomie, wiedząc, że to jedyna droga do zbawienia świata. Słowa "Nikt mi życia nie odbiera, lecz Ja sam je oddaję" (J10,18) są tego najlepszym dowodem. Nie chodziło o bierne poddanie się, ale o kontrolowane, rozważne działanie.

Egzegetycznie warto zwrócić uwagę, że w I wieku żydowskie oczekiwania mesjańskie były często związane z politycznym wyzwoleniem Izraela. Jezus wyraźnie odcina się od tej koncepcji. Jak zauważa św. Jan Chryzostom, odejście Jezusa na górę symbolizuje Jego wierność Bogu Ojcu i sprzeciw wobec fałszywego mesjanizmu. Ojcowie Kościoła widzieli w tej scenie także zapowiedź wniebowstąpienia – Jezus odchodzi, ale nie po to, by zniknąć, lecz by przygotować ludzi na większe zrozumienie Jego misji.

Jezus w tym fragmencie ujawnia różnicę między apostołem a tłumem. Apostoł, który zna Jezusa, rozumie Jego wewnętrzną potrzebę bycia z Ojcem – to pragnienie samotności na górze jest dla niego zrozumiałe i naturalne. Tłum jednak, kierowany swoimi oczekiwaniami, odbiera Jego odejście jako coś niezrozumiałego, a nawet rozczarowującego. Człowiek, który próbuje narzucić Bogu własne plany, często doświadcza tego, że Jezus mu "wymyka". To doświadczenie niepokoju, frustracji, a czasem nawet poczucia odrzucenia, jest sygnałem, że nie spotkaliśmy Jezusa w Jego prawdzie, ale próbujemy Go wykorzystać do realizacji własnych celów. Jezus nie odsuwa się dlatego, że nie chce być z człowiekiem, ale dlatego, że nie pozwala się sprowadzić do narzędzia. To wezwanie do nawrócenia – do szukania Jezusa takim, jakim jest, a nie takim, jakim

chcielibyśmy Go widzieć. Tylko wtedy znajdziemy pokój, który wynika z relacji opartej na prawdzie, a nie na wyobrażeniach. W przeciwnym razie zagości w nas niepokój.

Gesty Mszy Świętej

Naturalność oraz przepisowość

Kiedy odprawiam Mszę, na zewnątrz wszystko może wydawać się spokojne, uporządkowane – gesty są dokładne, słowa wypowiedane w odpowiednich momentach. Ale wewnątrz jest to ciągły dialog, nie tylko z Bogiem, ale i z samym sobą. Czuję napięcie pomiędzy pragnieniem, by całkowicie wejść w tę rozmowę z Nim, a świadomością spojrzeń ludzi, którzy mnie obserwują. Z jednej strony wiem, że to nie ja jestem w centrum, z drugiej czuję odpowiedzialność za to, jak moja modlitwa zostanie odebrana przez wspólnotę. Czasami pytam siebie: czy gest był wystarczająco czytelny? Czy intonacja oddała to, co powinienem przekazać? Czy nie skupiłem się zbyt bardzo na formie, zapominając o treści?

To jak taniec – delikatny, ale mocny, wymagający jednocześnie inicjatywy i poddania się prowadzeniu. Jestem w nim sobą, ale wiem, że nie mogę działać sam. To Bóg chce się wyrażać przeze mnie. Wspólnie, razem z Nim, spędzamy ten czas dla wspólnoty, która leży nam na sercu. Nie chodzi o to, by zachwycić ludzi pięknem gestów czy słów, ale by wyrazić coś, czego nie da się w pełni uchwycić – Jego miłość. Miłość, którą daje nam w każdej Eucharystii.

Czasami stoję przed konkretnymi dylematami. Gdy podnoszę Hostię, zastanawiam się: jak długo trzymać ją uniesioną? Czy ludzie mają jeszcze czas, by spojrzeć na Chrystusa, czy już ich myśli zaczynają błądzić? Kiedy modłę się słowami "Ojcze nasz", słyszę echo swojego głosu i zastanawiam się: czy wypowiadam je z prawdziwym zaufaniem, czy tylko poprawnie odmawiam tekst? Są chwile, gdy muszę podejmować szybkie decyzje – czy w danym momencie coś zaakcentować, czy pozwolić, by cisza przemówiła sama. Każda z tych decyzji jest częścią tej delikatnej współpracy z Bogiem.

Uczę się tej współpracy każdego dnia. Liturgia to przestrzeń, w której ja i Bóg razem działamy. On daje swoją łaskę, ja wkładam swoje serce, swoje intencje, swoją osobowość. Staram się, by każdy gest i każde słowo było świadome,

pełne uwagi, ale równocześnie wolne. Czasami to trudne – kiedy pojawia się zmęczenie, kiedy w głowie kłębią się myśli o sprawach codziennych. Ale wtedy przypominam sobie, że nie jestem sam. On prowadzi, a ja mogę tylko dać z siebie wszystko, ufając, że resztę uzupełni Jego łaska.

Największą lekcją, jakiej uczę się w czasie Liturgii, jest to, że Bóg zaprasza mnie do wspólnego działania. Nie chce mnie zastąpić, nie chce mnie stłumić. Daje mi przestrzeń, bym był sobą, ale też przypomina, że nie jestem tutaj dla siebie. Jestem dla Niego i dla wspólnoty, która modli się razem ze mną. I w tej dynamicznej relacji odkrywam, że Liturgia jest jak rozmowa, w której słowa mają wagę, gesty mają sens, a cisza – swoją wymowę. To przestrzeń, gdzie mogę być prawdziwym sobą, w pełni zanurzonym w Jego miłości i prowadzeniu.

Czasami zadaję sobie pytanie: czy w Liturgii rzeczywiście chodzi o to, by wszystko było idealne? Czy bardziej istotne jest to, by przez moją niedoskonałość, ale pełną staranność i zaangażowanie, wyrażała się tajemnica przemiany, którą dokonuje Bóg? Myślę wtedy o Mszy Świętej trydenckiej, która była dla mnie szkołą liturgicznej staranności. Uczyla mnie przepisowości, dokładności, niemal matematycznej precyzji gestów i słów. To było niezwykle cenne doświadczenie – zrozumiałem, jak ważne są szczegóły, bo to w nich odnajduje się przestrzeń dla sacrum. Ale równocześnie zobaczyłem, gdzie leżą granice takiego podejścia.

Nie cierpię, gdy kapłani stają się w Liturgii maszynami. Takimi, którzy recytują modlitwy i wykonują gesty bez duszy, jakby sami byli tylko elementem rytualnej układanki. Nie chcę taki być. Liturgia nie jest dla mnie mechanicznym spełnieniem obowiązku. Chcę być człowiekiem w liturgii – żywym, niedoskonałym, ale pełnym chęci i pragnienia. To dla mnie droga, na której wciąż się uczę. Rozwijam się, popełniam błędy, staram się lepiej rozumieć, co znaczy być narzędziem w rękach Boga. Wiem, że jeszcze nie jestem na szczycie tej drogi, ale ufam, że to właśnie moja ludzka niedoskonałość staje się przestrzenią, w której On może działać.

To dzięki tej niedoskonałości Liturgia nabiera życia. Nie dlatego, że jest niedbała – przeciwnie, każdy gest, każde słowo chcę wykonać jak najlepiej, świadomie i starannie. Ale przez to, że w tej staranności jestem prawdziwy, nie ukrywam swojego człowieczeństwa. I to właśnie w tej autentyczności, w tej harmonii pomiędzy wysiłkiem a łaską, ukazuje się tajemnica przemiany. Bóg działa przez to, co ludzkie, nie idealne, a jednak całkowicie Mu oddane.

Słowa Mszy Świętej

Zakończenie modlitw

Jako kapłan wielokrotnie miałem okazję przekonać się, jak wielką wartość ma każde słowo wypowiedziane podczas Mszy Świętej. Czasem jednak zapominamy, że nie wszyscy – szczególnie dzieci – rozumieją, co mówią, a jeszcze rzadziej, dlaczego to mówią. Dlatego chciałbym podzielić się kilkoma refleksjami z mojego doświadczenia, szczególnie z pracy z dziećmi przygotowującymi się do Pierwszej Komunii Świętej.

Przygotowanie dzieci do Pierwszej Komunii Świętej to coś więcej niż nauka formułek. Wiele z nich przyznaje, że rzadko chodzi z rodzicami na Mszę Świętą, a ich znajomość liturgii jest bardzo ograniczona. Dlatego zaczynamy od podstaw: omawiamy poszczególne części Mszy, uczymy się dialogów i odpowiedzi. Z jednej strony chcę, żeby te odpowiedzi były wypowiadane poprawnie, z należytą starannością, ale z drugiej – żeby dzieci zrozumiały, dlaczego one w ogóle są.

Podczas tych lekcji zdarzają się też sytuacje, które pokazują, jak dzieci potrafią w naturalny sposób wychwytywać błędy i reagować na nie z lekkością, a jednocześnie z troską. Na przykład, kiedy uczymy się „Ojcze nasz”, zawsze przypominam, że podczas Mszy Świętej nie mówimy „Amen” na końcu tej modlitwy. To nie jest zwyczajny brak – liturgia prowadzi tę modlitwę dalej, do prośby „Wybaw nas, Panie, od zła wszelkiego...”. Jednak wielu ludzi z przyzwyczajenia dodaje „Amen” - szczególnie gdy Ojcze nasz nie jest śpiewane. Dzieci nauczyły się wtedy reagować na takie sytuacje hasłem „Bez Amen!”, i robią to z uśmiechem. To ich sposób na zwracanie uwagi w duchu zabawy, ale też na budowanie poczucia wspólnej odpowiedzialności za liturgię.

Cała

klasa

woła

Bez Amen!

Zwracam też uwagę na niektóre błędy, które wynikają raczej z tradycji lub nieświadomości niż ze złej woli. Przykładem jest słowo „Ament” – używane czasem w serialach lub żartach, by wyśmiać ludzi, którzy nie znają poprawnych słów liturgii. Dzieciom tłumaczę, że „Amen” to bardzo ważne słowo, pochodzące z języka hebrajskiego, które oznacza „Niech się stanie”. Nie uczmy dzieci błędnych słów. Chociaż to tylko małe „t” na końcu słowa, to mimo wszystko świadczy o naszej niedbałości. Szkoda tylko, że nie potrafimy sobie tak zwracać uwagę jak dzieci w szkole.

Podczas śpiewu „Święty, Święty” często pojawia się też błąd w słowach: „Błogosławiony, który idziesz w imię Pańskie” zamiast „idzie w imię Pańskie”. To drobna zmiana, ale bardzo istotna. Słowa te odnoszą się do Jezusa, który przychodzi do nas w Eucharystii, a nie do kogoś z nas.

Akcent w naszej mowie jest niezwykle istotny, bo to on pomaga nam być lepiej rozumianymi. W języku polskim zasada jest prosta – akcent pada zazwyczaj na drugą sylabę od końca. Jednak są wyjątki, o których nie zawsze wiemy. Sam dopiero rok temu zauważyłem, że popełniałem błąd w tzw. paroksytonicznych akcentach, czyli takich, gdzie akcent powinien być przesunięty na trzecią sylabę od końca, na przykład w słowie „przeszłście”. Wiedziałem o ogólnej regule, ale o tych wyjątkach dowiedziałem się dopiero niedawno. Warto czasem sprawdzić te zasady, choćby w internecie, by nasza mowa była bardziej staranna i poprawna.

**Amen !
bez
t
na końcu**

Wszystkie te doświadczenia uczą mnie jednego: Eucharystia jest wspólnym dziełem całej wspólnoty. Każdy z nas ma swoją rolę – czy to kapłan, czy wierni, czy nawet dzieci, które dopiero uczą się swojej wiary. Ważne, byśmy wszyscy starali się wprowadzać więcej staranności i świadomego zaangażowania w to, co mówimy i śpiewamy. Nie chodzi o perfekcję, ale o serce włożone w to, co robimy.

Święta Teresa z Kalkuty

Misja w Indiach

Był to kolejny niedzielny poranek w Skopje. Słońce leniwie wdzierało się przez witraże kościoła, a zapach świec mieszał się z cichymi odgłosami modlitw. Tego dnia kazanie głosił jezuita, który niedawno powrócił z Indii. Jego głos, pełen pasji i doświadczenia, przyciągał uwagę każdego obecnego. Gdy zaczął mówić, cisza wypełniła kościół, jakby całe zgromadzenie wstrzymało oddech.

„Indie to kraj pełen chaosu i kontrastów” – zaczął. Opowiadał o tłumach ludzi na zatłoczonych ulicach miast takich jak Kalkuta, o kolorowych targach, pełnych przypraw i owoców, ale także o niewyobrażalnym

ubóstwie. „Ludzie umierają w cieniu wielkich świętyń, a serca wielu pozostają wypełnione lękiem i brakiem nadziei. W kraju, gdzie miliony bogów walczą o miejsce w ludzkich sercach, jest tak niewielu, którzy znają prawdziwego Króla – Chrystusa, który pragnie rządzić nie przez siłę, lecz przez miłość” – powiedział, a jego słowa głęboko poruszyły Gonxhę.

Kaznodzieja zatrzymał się na chwilę, jakby chciał dać czas słuchaczom na przemyślenie jego słów. „Często widać, jak wiara jest używana jako narzędzie podziału, a nawet walki. Ludzie chcą zmieniać świat przez siłę, przez politykę, przez konflikty. Ale Chrystus pokazuje coś zupełnie innego. On nie przyszedł, by objąć władzę ziemską. Przyszedł, by przemieniać serca – jak zakwas, który stopniowo przenika całe ciasto. Tylko przemiana serca może zmienić człowieka, a przez człowieka – świat” – mówił dalej, a w jego głosie brzmiała głęboka nadzieja.

Te słowa zapadły głęboko w serce Gonxhy. W jej wyobraźni ożyły obrazy ludzi, o których opowiadał – tych, którzy cierpią nie tylko z powodu ubóstwa, ale przede wszystkim z powodu pustki w swoich sercach. Wyobrażała sobie, jak Chrystus pragnie wypełnić tę pustkę swoją miłością i pokojem. Zrozumiała, że misja to nie walka o władzę ani o wpływy, ale o ukazywanie ludziom Królestwa Bożego, które zaczyna się w sercu każdego człowieka.

„Chrystus króluje w ciszy i wierności” – kontynuował jezuita. „Jego królestwo nie wymaga politycznych zmian ani rewolucji. Jego królestwo wymaga ludzi gotowych, by być świadkami Jego miłości. To ludzie, którzy w swoich codziennych działaniach stają się jak zakwas – przekształcają to, co wokół nich, nie przez siłę, ale przez pokorną obecność. Takich ludzi potrzebują Indie. Takich ludzi potrzebuje świat”.

**Wzywasz mnie
bym była
Twoim
zakwasem**

Po zakończeniu kazania Gonxha pozostała jeszcze chwilę w kościele, wpatrując się w krzyż. „Panie, jeśli Ty jesteś Królem, który nie domaga się siły, ale przemiany serca, czy mnie wzywasz, bym była Twoim zakwasem?” – modliła się w ciszy. Wiedziała, że droga, o której mówił jezuita, nie była łatwa. Ale w głębi serca poczuła, że właśnie do tego była powołana – by głosić królestwo Chrystusa, które zaczyna się w sercu każdego człowieka, a stopniowo przemienia świat.

Prawda zasiana w sercach

Przebiegłość szatana, które chce tylko dobrze

List XIV z „Listów starego diabła do młodego”, C.S. Lewis

Szatan działa subtelnie, podsuwając pozory dobra, które w rzeczywistości odciągają od Bożego planu. Gdy tłum chciał obwołać Chrystusa królem, wydawało się to szlachetne, lecz była to pokusa odwrócenia Jego misji. Podobnie w liturgii – improwizacja, nawet z dobrych intencji, może prowadzić do pychy i oddalenia od pokory, której Bóg oczekuje. Szatan wykorzystuje nasze ambicje i pragnienia, by skierować naszą uwagę na siebie, zamiast na posłuszeństwo Bożej woli.

Mój drogi Piołunie,

Niepokoi mnie, że Twój pacjent nie robi już dumnych postanowień o wiecznej cnocie, lecz liczy na bieżącą łaskę do pokonywania codziennych pokus. To bardzo źle. Stał się pokorny – zwróć jego uwagę na ten fakt! Przemyć myśl: „Na Jowisza, jestem pokorny!”, a zaraz pojawi się pycha z pokory. Jeśli będzie próbował ją stłumić, uczyni go dumnym z tego wysiłku. Niech myśli, że pokora to negatywna opinia o sobie, a nie zapomnienie o sobie. Skupienie na własnej „pokorze” prowadzi do cynizmu i przygnębienia. Niech czuje, że musi udawać, iż jego talenty są mniejsze niż w rzeczywistości. Dzięki temu będzie ciągle skupiony na sobie.

Nieprzyjaciel chce, by pacjent potrafił cieszyć się talentami swoimi i cudzymi jak wschodem słońca – bez stronnictwa. Chce nauczyć go kochać siebie jak bliźnich. Twoim zadaniem jest, by pacjent stale myślał o własnej wartości i talentach, zamiast o Nieprzyjacielu czy innych. Nie dopuść, by zaakceptował prawdę, że jego talenty są darem od Nieprzyjaciela – coś, z czego równie dobrze mógłby być dumny, jak z koloru włosów. Niech raczej rozważa swoją grzeszność, ale nigdy nie pozwól mu zapomnieć o sobie.

Twój kochający stryj,

Krętać